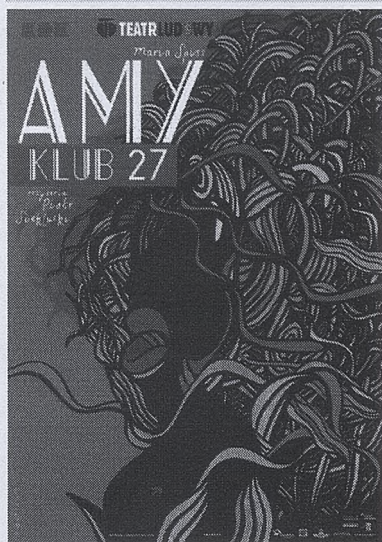


"Amy. Klub 27" w Teatrze Ludowym

Wtorek, 3 marca (13:25)

"Amy. Klub 27" Marii Spiss w reżyserii Piotra Siekluckiego to spektakl wykorzystujący w pewnym sensie ekstremalne doświadczenia muzyków rockowych i ich twórczość do opowiedzenia o trudnych relacjach młodych ludzi z rodzicami, łatwej ucieczce w używki i w konsekwencji przedwczesnej śmierci. Bo Klub 27 jakże liczna grupa artystów, którzy odeszli w wieku 27 lat. Jako ostatnia dołączyła do nich niedawno Amy Winehouse.



Plakat

/materiały prasowe

Spektakl będzie prezentowany w zamkniętym cyklu 20 przedstawień i uzupełniony szeregiem interdyscyplinarnych działań o charakterze warsztatowym, artystycznym i animacyjnym skierowanych do młodzieży, skoncentrowanych na promowaniu postaw opartych na świadomości własnego potencjału, otwartości, akceptacji różnorodności i odpowiedzialności.

Reżyseria:Piotr Sieklucki

Scenografia:Łukasz Błazejewski

Muzyka i opracowanie muzyczne:Paweł Harańczyk

Występują:

Patrycja Durska

Beata Schimscheiner

Iwona Sitkowska

Wiktoria Węgrzyn (gościnnie)

Aneta Wirzinkiewicz (gościnnie)

Piotr Piecha

Dominik Rybiąlek (gościnnie)

Tomasz Schimscheiner

Ryszard Starosta

Jacek Strama

Inspicjent: Anita Wilczak - Leszczyńska

Sufler: Martyna Rezner

Prapremiera: 6 marca 2015 r. - Duża Scena

Dlaczego wielu muzyków rockowych zdecydowało się zabić w wieku 27 lat? O tym rozmawialiśmy z twórcami spektaklu "Amy. Klub 27".

"Amy. Klub 27" Marii Spiss w reżyserii Piotra Siekluckiego to spektakl wykorzystujący w pewnym sensie ekstremalne doświadczenia muzyków rockowych i ich twórczość do opowiedzenia o trudnych relacjach młodych ludzi z rodzicami, łatwej ucieczce w używki i w konsekwencji przedwczesnej śmierci. Bo Klub 27 to - jakże liczna - grupa artystów, którzy odeszli w wieku 27 lat.

Trudnym tematowi w tym spektaklu towarzyszyła będzie mocna muzyka. W "Pop-południu" rozmawialiśmy z jego twórcami: Marią Spiss, Piotrem Siekluckim i aktorem Tomaszem Schimscheinerem. Spektakl swoją prapremierę będzie miał 6 marca w Teatrze Ludowym w Krakowie.

Kolejny temat audycji to zapożyczenia, przetworzenia, remiksy i sampłowanie. A to w kontekście wystawy "Kanibalizm? O zawłaszczeniach w sztuce", która zostanie otwarta 5 marca w warszawskiej "Zachęcie".

Na audycję "Pop-południe" w piątek (6.03) w godzinach 16.00-17.00 zaprasza Marta Strzelecka.

Rozerwać życie na strzępy

5 marca 2015 Rozmawiał Łukasz Gazur

Rozmowa. Z reżyserem Piotrem Siekluckim o artystów życiu na krawędzi, czyli o spektaklu „Amy. Klub 27”, który będzie miał premierę w piątek o godz. 19 w Teatrze Ludowym w Krakowie

– Nie sądzisz, że Klub 27, czyli określenie stosowane w odniesieniu do artystów, którzy zmarli w wieku 27 lat, to tylko współczesna medialna bańka?

– O klubie na poważnie zaczęło się mówić już w latach siedemdziesiątych, od czasów rewolucji seksualnej, a właściwie od śmierci Hendrixa i Joplin. Pierwszy „zapisany” klubowicz przypada na XIX w. Ale nie to jest tematem naszego spotkania w Teatrze Ludowym, więc nie sprowokujesz mnie słowami „medialna bańka”. Tym spektaklem rozmawiamy o pragnieniu, które dotyka nas wszystkich. O pragnieniu sławy i kariery, o byciu bogatym i rozpoznawalnym, i o konsekwencjach, jakie się z tym wiążą.

– Jimi Hendrix, Janis Joplin, Jim Morrison, Kurt Cobain, wreszcie Amy Winehouse. Spore grono. Historię wszystkich zobaczymy na scenie? Co łączy te postacie?

– Wbrew pozorom nie łączy ich tylko wspólny czas śmierci, a doświadczenia rodzinne. Wspólnym mianownikiem opowieści o Amy Winehouse i klubowiczach są historie dzieciństwa. Rozbite rodziny, toksyczne relacje z ojcem lub matką, wstyd dzieciaków przed rówieśnikami wynikający z rozpadu rodziny – to pchało ich później do wody, bo ona zabijała frustrację. Ucieczka w pozornie lepszy świat alkoholu i narkotyków. Wódka ich wyzwalała, kokaina ośmielała, heroina wprowadzała w baśniowy kraj samoakceptacji. Kiedy redaktorze wypijasz kieliszek czystej, stajesz się bardziej wyrazisty w swoich spostrzeżeniach, wyostrza ci się widzenie moich reżyserskich błędów. Wydaje ci się, że jesteś lepszy ode mnie, że zrobiłbyś to lepiej... ale to tylko wódka! Potem wypijasz więcej, zaczynasz wysyłać pretensjonalne SMS-y do przyjaciół, stajesz się agresywny. A wreszcie przychodzi moment, kiedy pijany leżysz na podłodze i płaczesz za miłością czy zmarnowanym życiem. Ale to wódka płacze, nie ty! I w pewnym momencie zaczynasz się gubić. Nie wiesz, czy to heroina, czy to ty, czy to wódka, czy twoje rzeczywiste uczucie. I lecisz w dół. A kiedy próbujesz analizować siebie i swoje uzależnienie, dochodzisz do punktu zero: do matki i ojca. I okazuje się, że to oni są winni. Wtedy musisz ich zabić, by ocalić siebie. Zabij ojca, a poczujesz się naprawdę wolny! O tym próbuję zrobić spektakl.

– Stawiasz pomnik czy zrzucasz postacie z piedestału?

– Rozdrapuję ich rany i proszę, by przeżyli to jeszcze raz, by opowiedzieli o „braniu i chlaniu”.

– Czy sądzisz, że to wszystko jest wpisane w twórczość sceniczną? Trzeba się posuwać tak daleko, gdy jest się gwiazdą rocka?

– To są ich osobiste wybory i nie nam oceniać. Wystarczy, że oceniają nas rodzice i nauczyciele, dlatego trzeba ich zabić, czyli zabić w sobie poczucie winy, niższości, przynależności do jakiejś religii. Czasami człowiek ucieka w ekstremalne doświadczenia, co wcale nie musi znaczyć, że jest słaby. W czymś mu niewygodnie. Tym czymś może być społeczeństwo, religia, a nawet kostium, jakim jest nasza skóra. Wtedy pokrywa ją tatuażami, upiększa lub zmienia jej kolor – jak Michael Jackson.

– Czy wiek 27 lat to dla artysty „granica ryzyka”? Próbujesz odpowiedzieć w swoim spektaklu, dlaczego akurat 27? To jakiś syndrom wyczerpania? Braku tej energii, którą się miało, wchodząc na scenę? A może to wieczne zapotrzebowanie młodości? Chęć budowania legendy?

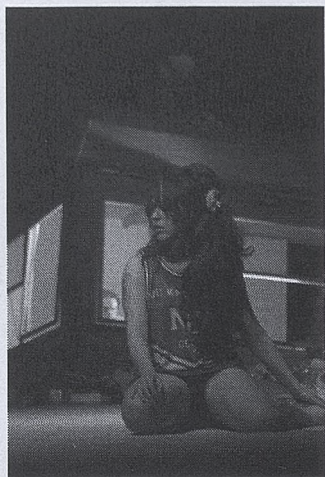
– 27 to tylko przypadek. Nie sędzę, by artyści zaprogramowali się na 27. Ustawili zegar wewnętrznego dynamitu, by na czas rozerwać życie na strzępy. Oni skończyli życie – świadomie bądź nie – w wieku 27, a Robin Williams, kiedy przekroczył 63 lata. Dochodzimy do pewnego kresu. Więcej po prostu nie mogli, więcej by nie udźwignęli. Krzyż, który niosę, musi ważyć tyle, bym go dźwignął.

– Ważnymi bohaterami tego spektaklu są piosenki. Jak kompletowałeś playlistę? Osobisty gust? Najbardziej znane przeboje? A może wręcz przeciwnie: inna twarz muzyków?

– Utwory dobieraliśmy tematycznie. Piosenki ze spektaklu wyrażają stan emocjonalny bohatera w danej scenie. Liczy się litera słowa. Liczy się to, o czym oni śpiewają, a nie jak! Jeśli w pewnej scenie Amy rozlicza się z Ojcem i oszukuje go w terapii, to powinna zaśpiewać utwór ze słowami „My dady thinks I`m fine” („Mój tata myśli, że wszystko jest w porządku”). Jeśli tłum żąda, by Kurt śpiewał o miłości, to śpiewa o gwałcie, bo miłość kojarzy mu się z przemocą. Tak dobieraliśmy utwory. Nie pozostaje mi nic innego, jak tylko propozycja dla ciebie: zgwałć mnie!

Amy w klubie 27. Premiera w Teatrze Ludowym

Gabriela Cagiel



"Amy. Klub 27" w Teatrze Ludowym (Sebastian Strama)

Czarnowłosa artystka z wysoko upiętym kokiem i spojrzeniem podkreślonym mocną czarną kreską o niesamowitym, charakterystycznym jazzującym głosie nie odejdzie w niepamięć. W Teatrze Ludowym w sobotę o godz. 19 odbędzie się premiera "Amy. Klub 27" Marii Spiss w reżyserii Piotra Siekluckiego.

"Próbowali mnie zmusić, abym poszła na odwyk, ale powiedziałam: nie, nie, nie. Tak, byłam w amoku, ale kiedy się otrząsnę, będziesz to wiedział, wiedział, wiedział" - tak mniej więcej możemy przetłumaczyć słowa niewypadającej z pamięci kultowej "Rehab" Amy Winehouse. A

były przecież i inne niezapomniane kawałki, jak: "You Know I'm No Good", "Back To Black", "Love Is A Losing Game". Choć zmarła w 2011 roku, to podobnie jak w przypadku innych muzyków z Klubu 27, jej historia nie daje spokoju.

Piotr Sieklucki reżyseruje w Teatrze Ludowym mocną, koncertową opowieść. - Amy wiodła życie pełne uzależnień - przez alkohol, po narkotyki, od tych słabszych, po najbardziej uzależniające. Ta historia rodzinna, detoks, ale i przynależność do religii żydowskiej złożą się na pierwszą część spektaklu. Tożsamość religijna ciągle podkreślana przez ojca mocno ją uwierała. Dzięki muzyce potrafiła się wyzwolić od tego wszystkiego - od rodziców, od tożsamości religijnej i seksualnej, z którą też się zmagala. Były w jej życiu przelotne relacje z kobietami, ale też wielka miłość do Blake'a Fieldera-Civila. Tak jakby ona ustawiła jakąś bombę atomową, która w końcu ją rozsadziła - wyjaśnia Sieklucki. W drugiej części pojawiają się pozostali klubowicze - Jim Hendrix, Jim Morrison, Janis Joplin czy Kurt Cobain.

Organizatorzy zwracają uwagę, że spektakl będzie prezentowany w "zamkniętym cyklu 20 przedstawień i uzupełniony szeregiem interdyscyplinarnych działań o charakterze warsztatowym, artystycznym i animacyjnym skierowanych do młodzieży, skoncentrowanych na promowaniu postaw opartych na świadomości własnego potencjału, otwartości, akceptacji różnorodności i odpowiedzialności".

Występują: Patrycja Durska, Beata Schimscheiner, Iwona Sitkowska, Wiktoria Węgrzyn (gościnnie), Aneta Wirzinkiewicz (gościnnie), Piotr Piecha, Dominik Rybiałek (gościnnie), Tomasz Schimscheiner, Ryszard Starosta i Jacek Strama. Scenografia: Łukasz Błazejewski, muzyka i opracowanie muzyczne: Paweł Harańczyk.

<http://www.e-teatr.pl/pl/artykuly/198333.html>

Amy. Klub 27. Wolni w muzyce, nieszczęśliwi w życiu

- Śmierć Amy uwolniła jego potencjał. On koncertuje, ona nadal pije w Klubie 27. Taka to nasza impresja. Życie po śmierci istnieje, ale nie takie, jak mówi nam ojciec z matką. Są sale samobójców i są rozmaite kluby. Piotr Sieklucki, reżyser "Amy. Klubu 27" w Teatrze Ludowym w Krakowie, opowiada o przedstawieniu.

Rozmowa z Piotrem Siekluckim, reżyserem spektaklu "Amy. Klub 27".

Amy Winehouse wciąż inspiruje?

- Pomysł na spektakl zrodził się w jednej z krakowskich knajp przy butelce wina. Zaczęło się od opowieści Łukasza Błażejewskiego o Jean-Michel Basquiatcie, jego przyjaźni z Andy Warholem i tragicznej śmierci w wieku 27 lat. I tak od słowa do słowa doszliśmy do spektaklu o życiu Amy Winehouse i klubowiczach "27". Jackowi Stramie, dyrektorowi Teatru Ludowego bardzo się spodobał i tak powstała sztuka Marysi Spiss. Tekst zakwalifikował się do drugiego etapu Gdyńskiej Nagrody Dramaturgicznej, więc ten pierwszy sukces może wróży coś dobrego.

Amy zmarła w lipcu 2011 roku, pozostawiając po sobie utwory i niezatarte wrażenie wyjątkowo utalentowanej dziewczyny z charakterystycznym głosem, która odeszła zdecydowanie za wcześnie. Opowiadacie o jej życiu? O karierze?

- Spektakl jest opowieścią o Amy i jej toksycznych relacjach z rodzicami, dziwnej więzi z ojcem i tajemniczej roli matki, która tak naprawdę w życiu i twórczości córki nie uczestniczyła.

Dziwne to były relacje.

- Wydaje się, że ojciec miał kompleks Amy. Też jest muzykiem, a odkąd pojawiła się Amy, nie mógł rozwijać swojej kariery. Nie chciał tego dziecka. Nieobecność matki była nie do zniesienia. Amy zaczęła uciekać, nie tylko w muzykę ale i alkohol oraz środki odurzające. Dopiero po jej śmierci ojciec zaczął koncertować. Oboje od siebie się uwolnili. Wolność odnajdujemy tylko w śmierci.

Straszne to uwolnienie.

- Śmierć Amy uwolniła jego potencjał. On koncertuje, ona nadal pije w Klubie 27. Taka to nasza impresja. Życie po śmierci istnieje, ale nie takie, jak mówi nam ojciec z matką. Są sale samobójców i są rozmaite kluby.

To nie tylko historia rodzinna.

- Amy wiodła życie pełne uzależnień, przez alkohol po narkotyki, od tych słabszych po najbardziej uzależniające. Ta historia rodzinna, detoks, ale i przynależność do religii żydowskiej złożą się na pierwszą część spektaklu. Tożsamość religijna ciągle podkreślana przez ojca, mocno ją uwierała. Dzięki muzyce potrafiła się wyzwolić od tego wszystkiego - od rodziców, od tożsamości religijnej i seksualnej, z którą też się zmagала. Były w jej życiu przelotne relacje z kobietami, ale też wielka miłość do Blake'a Fieldera-Civila.

W drugiej części spotkacie się z pozostałymi klubowiczami?

- Od opowieści rodzinnej osadzonej w ostrych koncertowych brzmieniach, przechodzimy do spotkania z wybranymi spośród tych 40 artystów. Będą legendarni Jim Hendrix, Jim Morrison, Janis Joplin czy Kurt Cobain. Nie łączy ich tylko uzależnienie. To coś znacznie więcej - trudne rodzinne relacje, poszukiwania tożsamości seksualnej i wstyd przed rówieśnikami, że rodzice się rozwodzą. Wstyd swojego ciała, którego nie akceptuje Janis Joplin.

Oni uciekali w muzykę i wódę. Wtedy czuli się wolni i szczęśliwi, wtedy mogli sami siebie zaakceptować.

"Amy. Klub 27" ma mieć koncertowy charakter...

- Muzyka odgrywa bardzo dużą rolę. Wykonujemy piosenki Amy i szlagiery pozostałych klubowiczów. Często w piosenkach opowiadają oni o swoim bólu, wewnętrznych rozterkach, porzuceniu. Będzie zespół na żywo, gramy rockowo. Będzie można się poczuć bardziej jak na sali koncertowej, niż w teatrze.

Angażujecie młodych artystów. W tym Wiktoria Węgrzyn w tytułowej roli

- Wiktoria ma fantastyczny głos. Podobnie jak Dominik Rybiątek, który zagra Kurta Cobaina, czy Aneta Wirzinkiewicz jako Janis. Weronika i Dominik dopiero co skończyli szkołę teatralną. Wystąpią obok Jacka Stramy i Tomka Schimscheinera, czyli utalentowanych aktorów ze sporym doświadczeniem zawodowym.

Widzowie, którzy oglądali twoje spektakle, wiedzą jak dużą rolę odgrywa w nich muzyka. Przemawia do ciebie historia Amy?

- Wychowałem się na Cobainie. Nirvana to była moja młodość, nastoletni bunt, dlatego jest mi to bliskie. Próbuje przez spektakl szukać sensu życia, śmierci i życia po śmierci. Czy to ma w ogóle jakiś sens? Czy coś jest? A jeśli tak, to jak to wygląda. Największa tajemnica ludzkości. A może wszyscy jesteście oszukiwani? I nie ma nic?

Jak to pisał Czechow: " Minie zima przyjdzie wiosna, a już nas nie będzie; jak gdyby nigdy nas nie było". I wylądujemy na śmieciach, tak jak nasi klubowicze, bo obecnie płyty Hendrixa kupisz w Tesco za 9,99 zł. Oni już się nie liczą. Oni umarli.

"Amy. Klub 27". Teatr Ludowy. Reżyseria: Piotr Sieklucki. Występują: Patrycja Durska, Beata Schimscheiner, Iwona Sitkowska, Wiktoria Węgrzyn (gościnnie), Aneta Wirzinkiewicz (gościnnie), Piotr Piecha, Dominik Rybiątek (gościnnie), Tomasz Schimscheiner, Ryszard Starosta i Jacek Strama. Scenografia: Łukasz Błazejewski, muzyka i opracowanie muzyczne: Paweł Harańczyk. Spektakle: 20-21 marca.

"Amy. Klub 27. Wolni w muzyce, nieszczęśliwi w życiu"

Gabriela Cagiel

Gazeta Wyborcza - Kraków online

[Link do źródła](#)

09-03-2015 Wszystkie teksty Gazety Wyborczej od 1998 roku dostępne są w internetowym Archiwum Gazety Wyborczej - największej bazie tekstów w języku polskim w sieci



FOT. ARCHIWUM

Spektakl „Amy. Klub 27” to mocny głos o nałogach gwiazd

ZA KULISAMI

Łukasz Gazur

Klub bólu istnienia

Zwykle wewnątrz, rodzina za stołem jakby zastygła, odrętwiała codziennością. I córka, która próbuje wydostać się z życiowego otępienia. To tytułowa bohaterka spektaklu „Amy. Klub 27”, prezentowanego w Teatrze Ludo- wym w Krakowie. To mocny, zadziorny, konfrontacyjny głos. A w obsadzie Patrycja Durska, Beata Schimscheiner, Iwona Sitkowska, Wiktoria Węgrzyn, Piotr Piecha, Dominik Rybiąlek, Ryszard Starosta, Jacek Strama, Aneta Wirzinkiewicz, Tomasz Schimscheiner.

Sztuka jest opowieścią o mitycznym Klubie 27, czyli grupie artystów, którzy w różnych czasach i w różnych sytuacjach zakończyli swoje życie w wieku 27 lat. Idąc tropem tekstu Marii Spiss, poznajemy strzępy biografii wielkich gwiazd muzyki, które kończyły tragicznie. Tytułowa Amy, zmierzająca z owieczką-przewodniczką w stronę światła, to oczywiście zmarła niedawno Amy Winehouse, ale w czyśc- cu (a może raczej wielkim śmietniku zapomnianych już dawno odpadków popkultury?!) spotka Jimiego Hendrixa, Janis Joplin, Kurta Cobaina, Jima Morrisona. Ich rozmowa przebiega w konwencji spotkania klubu Anonimowych Alkoholików: naj- pierw imię, potem opis spotka- nia z nałogami. I historie picia alkoholu i brania narkotyków („po heronie przynajmniej nie bolał mnie brzuch”) i przekra- czania kolejnych granic jako przełamywania społecznych konwencji. W słowa tej spo- wiedzi wpisują się wielkie przeboje – czasem dość prze- wrotnie. Gdy zgromadzeni na scenie chcą, by Kurt śpie- wał o miłości, ten wybiera pio- senkę o gwałcie. Bo miłość ko- jarzy mu się z przemocą. Amy, rozliczając się ze swoim ojcem, oszukuje go na temat terapii,

i śpiewa „My dady thinks I’m fine” („Mój tata myśli, że mam się dobrze”).

Wszyscy bohaterowie mają wykrzywione widzenie świa- ta, relacji międzyludzkich, własnej osoby. Źródłem tego sta- nu dopatrujemy się w ich dzie- ciństwie, dusznych, miesz- czańskich domach rodzin- nych. Ale im dłużej ich słucha- my, tym bardziej zdajemy sobie sprawę, jak ich osobność im doskwierała, jak spychała ich w samotność. Widzimy, ja- ką cenę zapłacili za swoje nie- dopasowanie. Ale to tylko je- den z wątków tego spektaklu.

Oczywiście reżyser Piotr Sieklucki, dyrektor Teatru No- wego w Krakowie, nie byłby so- bą, gdyby w tle nie umieścił kontrowersyjnych tematów społecznych. Tak więc w scenie talk-show prezenter, irytujący typek z telewizji, który dla oglądalności zrobi wiele, a z celebrytów urządzi tv-cyrk dla swoich widzów, głosi ha- sła w stylu „my ze swoimi umarłymi idziemy do Europy”. Zresztą Amy, pochodzącej z ży- dowskiej rodziny, proponuje za- bawę w popularnej ostatnimi czasy w wielu miastach kon- wencji escape-room (pokój pe- łen pułapek i zagadek, z które- go w określonym czasie trzeba się wydostać) – tyle że tym ra- zem „pokój zagrożeń” ma po- stać stodoły z Jedwabnego. Tej, w której w czasie wojny spłone- li żydowscy mieszkańcy okoli- cy. I nagle czujemy zapach ka- dzidla. Symboliczny to mo- ment. Podobnie jak ten, w któ- rym na scenę nagle wchodzi Chrystus...

Ma ten spektakl swoje man- kamenty: wolno się rozkręca, dłużą się niemiłosiernie mono- logi gwiazd, które powtarzają jak mantrę słowa o „braniu i chlaniu”. Niemniej jednak staje się to przedstawienie bardzo mocnym, dźwięczą- cym wciąż w głowie głosem o cenie, jaką płaci się za samot- ność w świecie sławy, o tym, jak uwierające bywają spo- łeczne schematy, rasa, religia, rodzinne relacje. A wszystko w ciekawej scenografii Łuka- sza Błażejewskiego, oddającej wizualnie napięcie spektaklu. ©©

Mój idol, samobójca

Wszystko, co jest nowe, szalone, inne, zbuntowane – zawsze fascynuje. Jak jesteśmy młodzi, mamy ściany pokoi oklejone plakatami z podobiznami swoich idoli. Najczęściej nie są to ludzie, mogący być wzorem do naśladowania: geniusze ale – jednocześnie alkoholicy, narkomani z niezwykle talentem lub osoby w depresji, porywające tłumy. Jednak twórczość jest interesująca niemal tak samo jak ich życie, które najczęściej nie jest usłane różami, ale wybrukowane traumami.

*„Dopiero teraz wiem jak nisko upada
kto nie wypełnił swego czasu w pokorze
Oto dlaczego tak się obawiam
że za minutę trzeba będzie wstawać i żyć”*

Piotr Rogucki

Po rozświetleniu sceny przed naszymi oczami ukazuje się piękne wnętrze, przypominające królewską komnatę. Błękitne, udrapowane zasłony na horyzoncie, po prawej stronie na podwyższeniu, czerwony, duży, elegancki fotel. Przed nim na scenie stół i krzesła – przy nim rodzina: Amy Winehouse (Iwona Sitkowska) wraz z Ojcem (Tomasz Schimscheiner) i Matką (Beata Schimscheiner). Już tu, na początku, obserwujemy pewien chaos, który składa się na psychikę bohaterki. Dziewczyna śpiewa, poruszając się lekko i naturalnie po scenie. Rodzice są nieruchomi. Cała pierwsza część spektaklu poświęcona jest artystce, której śmierć zaskoczyła nas stosunkowo niedawno. Widzimy niechronologicznie ułożone sceny z jej życia – rozwód rodziców, trudną relację z ojcem, pobyt w klinice odwykowej, nałóg alkoholowy, problemy z tożsamością (zarówno narodowościową jak i seksualną). Utalentowana dziewczynka, której rodzice nie potrafili poradzić sobie ze sobą, co miało bezpośredni wpływ na ich dziecko. Już od dzieciństwa życie Amy dostarczało jej tematów na piosenki – szczere, bo mówiące o autentycznych przeżyciach.

Szczególnie przejmujące są dwie sceny. Pierwsza: kiedy na tle utworu Hoziera „Take me to church” pokazana jest relacja rodziców od swego rodzaju sielanki do niemal wzajemnej przemocy i odejścia ojca. Druga: kiedy Amy dzwoni w środku nocy do ojca z kliniki, mówiąc mu, że jest lesbijką, a ten w ogóle na to nie reaguje i cały czas mówi jej, żeby zadzwoniła jutro. Ta pełna rozpaczliwego niezrozumienia rozmowa bardzo przypomina scenę między Maciejem Stuhrem jako Joe a jego Matką (Stanisława Celińska) z „Aniołów w Ameryce” w reż. Krzysztofa Warlikowskiego – mężczyzna dzwoni w środku nocy, z budki telefonicznej do matki, krzycząc jej do telefonu, że jest gejem. Ta reaguje agresją, choć nie odnoszącą się wprost do słów syna.

Duże wrażenie wywiera też scena talk-show, gdzie gościem jest Amy – to karykatura programu, w którym gość ma najmniej do powiedzenia. Zaproszona artystka musi siedzieć na kanapie, choć Prowadzący (Jacek Strama) nie da jej właściwie dojść do głosu. Musi też zaśpiewać, choćby nie miała na to ochoty lub nie pozwalała jej na to kondycja psychiczna lub fizyczna. Jest częścią wielkiej maszyny przemysłu muzycznego i jej życie nie należy już do niej. Jedyne, co może zrobić, to spróbować ucieczki – choćby w alkohol.

O ile pierwsza część spektaklu jest realistyczna i zbliżona do życia, o tyle druga ma już wymiar metafizyczny. To impresja na temat „nieba”, w którym znajduje się m.in. siedziba „Klubu 27”. Amy

zostaje tam wprowadzona przez Owcę (która ostatecznie okazuje się Barankiem – genialna rola Wiktorii Węgrzyn). Scena jest tym razem podwórkiem motelu zaśmieconym wszelkiej maści odpadami w postaci kartonów, folii itp. Wśród tego artystycznego nieładu błakają się Jim Morrison (światny Piotr Piecha), Janis Joplin (zjawiskowa Aneta Wirzinkiewicz), Jimi Hendrix (niesamowity Dominik Rybiałek) oraz Kurt Cobain (niezwykły Ryszard Starosta). Cała ta plejada utalentowanych degeneratów nie znalazła się tu przypadkiem. Każde z nich przeżyło w dzieciństwie coś, co ich życiowe drogi kierowało zakrętami śmierci aż do miejsca, do którego ostatecznie trafili. Wygląda to na początku tak, jakby Amy trafiła w środek grupy dobrych znajomych: wiecznie wyluzowanych, trochę szalonych, połączonych muzyczną pasją. Natomiast klimat i zachowanie tych „skrzywionych” postaci przypomina film „Pulp fiction” w reż. Quentina Tarantino. Nieracjonalne myślenie, oderwanie od rzeczywistości i skupienie na własnych obsesjach. Poza tym – Amy zabija własnego ojca pistoletem Cobaina, więc ściany pokrywają się krwią kogoś, kto w ogóle nie powinien się tu znaleźć lub kogo tu tak naprawdę nie ma. Iluzje pogłębiają się, szaleństwo jest wspólnym mianownikiem.

Spektakl od pierwszych minut przepełniony jest muzyką – mamy tu zarówno utwory grane z offu jak i wykonywane na żywo przez aktorów oraz muzyków z zespołu, mającego swoje miejsce na mrocznym balkonie w głębi sceny. Co ciekawe, muzycy mają na głowach wielkie, czarne, królicze uszy. Potęgują one nastrój grozy i tajemniczości, związany z narkotycznym i alkoholowym upojeniem, co ma duże znaczenie w drugiej części spektaklu. Tam mamy już do czynienia tylko z ludźmi, którzy ostatecznie poddali się nałogowi. Te dziwne elementy strojów mogą kojarzyć się z przerażającym człowiekiem-królikiem, występującym w filmie „Donnie Darko” w reż. Richarda Kelly'ego. Stwór wywabia z domu głównego bohatera, przez co ratuje mu życie. W spektaklu podobne stroje noszą muzycy, a przecież właśnie muzyka była ratunkiem i ucieczką dla wszystkich członków „Klubu 27”.

Widowisku „Amy. Klub 27” w reż. Piotra Siekluckiego nie można odmówić rozmachu. Nie można też nie zauważyć genialnego pomysłu na scenariusz. W połączeniu z bardzo dobrym aktorstwem oraz oprawą plastyczno-muzyczną (w drugiej części możemy nieraz poczuć się jak na prawdziwym koncercie) spektakl jest naprawdę udaną produkcją. Zabiera widza w iluzoryczny świat szaleństwa i nałogu, które bierze swój początek w dzieciństwie. Przestrzega przed skutkami nieodpowiedzialności oraz pokazuje ciemną stronę „absolutnej wolności”. Słabym punktem może być natomiast jego długość – ponieważ trwa prawie trzy godziny, a intensywność bodźców i przeżyć jest wysoka. Ponadto wydaje się, że końcówka jest niepotrzebnie przedłużona, a puenta dziwna i mimo wszystko zaskakująca raczej w zły sposób. Jednak to widowisko zdecydowanie godne polecenia i świadomego przeżycia. Można zupełnie zauroczyć się formą, treścią – chcieć już zostać i nie wychodzić. Później natomiast przychodzi refleksja: czy naprawdę (idąc za słowami Kurta Cobaina) „Lepiej spłonąć niż się wypalić”?

Joanna Marcinkowska

Dziennik Teatralny Kraków

18 marca 2015

Spektakle

Amy. Klub 27

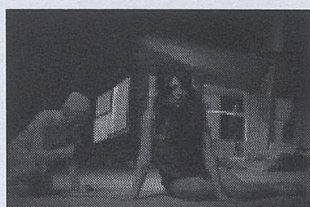
Teatry

Teatr Ludowy w Krakowie

<http://www.e-teatr.pl/pl/artykuly/199543.html>

Zabij ojca, Amy!

"Amy. Klub 27" Marii Spiss w reż. Piotra Siekluckiego w Teatrze Ludowym w Krakowie. Píše Alicja Müller w Teatraliach



W surrealistycznym nie-mieście, na granicy halucynacji i obłądu, w którym rozpad zdaje się synonimem istnienia spotykają się oni - dzieci negacji. Nieślubni potomkowie bourbona i marihuany. Królowie muzyki, postrachy kościołów. Idole i ucieleśnione karykatury przechłanego życia. Uwielbieni za to, co ich zniszczyło. Amy Winehouse, Jim Morrison, Kurt Cobain, Jimi Hendrix, Janis Joplin. Odeszli tak jak żyli - hucznie i samotnie. U Piotra Siekluckiego huk przedziera się nawet do krainy umarłych. Cienka bowiem jest granica między obłądem za życia a pośmiertną katuszą. Nie ma piekła ani nieba. Bohaterowie "Amy. Klubu 27" trafili donikąd. Na wiekiśmienny śmietnik. Przecież nigdy nigdzie nie pasowali.

Spektakl Siekluckiego zaczyna się od scenki z życia rodzinnego. Nie jest przyjemnie. Od razu widać, że z ostentacyjnie kpiarsko-teatralnego pokoju (przestrzeń wypełnia pluszowy - nieco kosmiczny, a trochę żałobny - fiolet) dawno już uleciało to, co można by nazwać miłością. Przy stole Amy i jej żydowscy rodzice. Siedzą. Odrętwiali, martwi, obcy wobec siebie i wobec świata. Piekło rodzinne nie potrzebuje efektów specjalnych. Ojciec zaraz odejdzie. Matka zaś zamieni się w byt istniejący, lecz nieobecny. Pięknie Sieklucki obrazuje wycofanie porzuconej żony, zamykając jej, rozwrzeszczane przed chwilą, usta. Usta od teraz zamalowane sztucznym, klaunim uśmiechem. Ten upiorny obrazek nie przynależy do rzeczywistości - został przefiltrowany przez zaćpaną wyobraźnię Amy. Historię piosenkarki opowiadana jest bowiem z jej, wykoślawionej drugami i alkoholem, co jednak nie znaczy, że kłamliwej, perspektywy. Nakładają się tutaj na siebie dwa równoległe plany narracyjne - jeden to punktowa opowieść o dzieciństwie i początkach kariery tytułowej bohaterki, drugi tworzy jej - pełen żalu i nienawiści - autokomentarz. Najbardziej obrywa się ojcu (w tej roli świetny Tomasz Schimscheiner, który kreuje postać odrzucającą i wzbudzającą, podszytą litością, czułością zarazem) - za to, że zniknął, za to, że nie umiał albo nie chciał kochać. Wspaniała wokalnie Wiktoria Węgrzyn jako Amy jest zaskakująco odpychającą. Jeśli odgrywa w ten sposób auto-nienawiść swojej bohaterki, jej kreacja ociera się o doskonałość. Jeśli zaś próbuje tworzyć realistyczny portret piosenkarki, coś zdecydowanie idzie nie tak, bowiem Winehouse bardziej niż zdegenerowaną wokalistkę przypomina (przynajmniej w pierwszej części) wulgarną dziewczynę z wiejskiej dyskoteki. Niemniej ważna od wątku rodzinnego jest w spektaklu historia uzależnienia Amy oraz cyklicznie wznawianej terapii, przedstawionej jako trud syzyfowy. Bezradność psychiatry (bardzo dobry Jacek Strama) zdaje się tyleż dramatyczna, co śmieszna. Lekarz przegrywa bowiem z solidarnością ćpających (przyjaciele piosenkarki przemycają używki we włosach, butach, a nawet - jak chce zniechęcony doktor - "we własnych dupach").

W sensie wizualno-metaforycznym historia Winehouse została poprowadzona zadziorną, wyrazistą kreską. Muzycznie spektakl jest oszołamiający. Gorzej wypada tekst Spiss, który przemienia gadające postaci w ich własne krzywo-zwierciadlane odbicia. Ani to biografia, ani psychoanaliza, a raczej pretensjonalna i doszczętnie zidiociała hybrydyczna ich karykatura. Figura rodziciela-potwora stanowi w nim punkt wyjścia i dojścia. Zupełnie jakby Freud zawładnął światem, a tożsamość ludzka konstituowała się tylko w odpowiedzi na pierwotne pragnienie mordy na ojcu. Fatalnie napisana jest zresztą nie tylko rola Amy. Janis, Jim, Jimi, Kurt, a nawet Jezus - wszyscy zostali opowiedziani w, by tak rzec, strzępach. Oczywiście nie ma nic złego w fragmentaryczności jako takiej. Pamiętamy

przecież w błyskach i urywkach. Problem pojawia się, gdy postaciom odbiera się pełno-krwistość, by zastąpić ją sfabularyzowaną, schematyczną psychoanalizą oraz epizodami-wytrychami. Dramaturgiczna nieudolność tekstu paradoksalnie podkreśla warsztat aktorów, którzy nawet z najbardziej łopatologicznie napisanych monologów, wychodzą obronną ręką.

Czasem nie sposób oprzeć się wrażeniu, że Sieklucki, w najlepszym wypadku, naśmiewa się z głupkowatości dramatu Spiss, czego przykładem dwie sceny. W pierwszej Amy przyznaje się rodzicielowi do związku z kobietą, a poczynionej konfesji towarzyszy zwiłokrotniony grzmot burzy, rodem z teatru klasy B. Druga to symboliczne (ale czy na pewno?) morderstwo ojca w estetyce rodem z kina Quentina Tarantino. Najpierw strzały, później dobicie deską. Krew zjawiskowo pryska po ścianach. Choć cały spektakl utrzymany jest w klimacie absurdałno-tragikomicznym (no bo jak inaczej zobrazować życia strzykawkami i wodą pisane), w tych dwóch momentach szala niebezpiecznie przechyla się na stronę kompromitującej bohaterów kpiny.

W konstrukcji "Amy. Klub 27" niepokoi jeszcze jedna kwestia, a mianowicie - motyw pośmiertnego występu wokalistki. Ciekawa skądinąd dramaturgicznie parodia tv-show z udziałem gwiazdy, która w gruncie rzeczy jest nieistotna, pobrzmiewająca echem spisałego polskiego romantyzmu ("my ze swoimi umarłymi idziemy do Europy") oraz traumy po Jedwabnym (stodoła z napisem "Tęsknię za Tobą, Żydzio" jako "escape room" to swoją drogą jeden z mocniejszych akcentów Klubu 27) podsuwa dość jednoznaczne skojarzenia ze spektaklem Strzępki i Demirskiego "O dobru". W przedstawieniu tandemu Amy musi wystąpić, chociaż donośnie, parafrazując Blanchota, śpiewa w niej śmierć. Bilety przecież wyprzedane. Trzeba dbać o PR. W Ludowym, w myśl podobnej zasady, piosenkarka zostaje przywiązana taśmami do mikrofonu, by - cytując - "napierdalać piosenki". Może to przypadek (wszak koncert w Bagdadzie otoczony jest aurą kontrowersji), może nie. Niemniej, kołyszająca się niepewnie w nazbyt wysokich (jak na swój stan) szpilkach krakowska Amy wypada w tym zestawieniu wyjątkowo lichy.

W drugiej części spektaklu Siekluckiego przenosimy się do muzycznego piekła-nieba. Nie istnieje tutaj rzeczywisty wybór między piciem a niepiciem. Odmienny stan świadomości staje się metaforą wieczności. Zaśmieconą resztkami po ćpuńskich życiach krainę (świetna scenografia Łukasza Błażejewskiego) zamieszkują członkowie, legendarnego już, Klubu 27. Wypaleni, zmięci, zdruzgotani paplają swoje własne bzdury (oczywiście powraca motyw niedoświadczonej za młodu miłości jako pierwotnej przyczyny postępującego zezumacania, ale pojawiają się też, nieco lepiej poprowadzone, wątki kontrastujące przestrzeń muzyki - wolności i akceptacji - z przestrzenią życia - sferą nienawiści i permanentnego, krwiopełnego smutku). Chleją i biorą - bo chcą ukoić ból, rozweselić umęczone dusze, bo są głodni, nienasycony i poharatani. Pragną być usłyszani, przytuleni, uwolnieni. Żądają miłości. Upadają przy każdym kroku na przód, a ich upadek nosi znamiona wieczności. Maniakalnie powtarzane ustępy o nędzy własnych istnień przeplatają piosenkami. Rodzi się z tych zestawień obraz prawdziwie druzgoczący. Sieklucki kontrastuje bowiem utwory, których bez wytchnienia wciąż słuchają miliony, z odrazą, jaką wzbudzają przekleści klubowicze - ludzkie wywłoki, godne co najwyżej neonowego napisu na drzwiach wielkomiejskiego pubu. Dominik Rybiątek (wspaniały, rozdzierający wokal, który rekompensuje wszystko, co w całym przedstawieniu dalekie od doskonałości), jako Kurt Cobain, poproszony o piosenkę o miłości, z przekonaniem śpiewa o pragnieniu doświadczenia gwałtu ("Rape Me"). Gwałt zamiast bliskości - oto obraz wymowniejszy niż cały - przegadany do granic niemożliwości - tekst Spiss.

"Zabij ojca, Amy!"

Alicja Müller

Teatralia nr 132/2015

[Link do źródła](#)

27-03-2015

Nieuleczalna Amy

2 kwietnia 2015 · by Redakcja · in Monika Siara, recenzje

Klub 27 zabiera tych największych, znajdujących się na wyżynach sukcesu. Odchodzą nagle, pozostawiając po sobie mniejsze lub większe sukcesy, skandale i rzesze fanów. Miłość do śmierci potrafi być silniejsza niż do życia. Na deskach Teatru Ludowego oprócz Amy Winehouse goszczą też Janis Joplin, Jimmy Hendrix, Kurt Cobain, Jim Morrison. Sieklucki pokazuje jak może wyglądać życie wieczne gwiazd popkultury, które w jego spektaklu lądują na gruzowisku pamięci.

Pierwsza część spektaklu to opowieść o najsmutniejszej dziewczynie w mieście – Amy Winehouse, która na próżno szuka miłości – ten, kogo nie nauczono kochać, nigdy nie pokocha naprawdę. Źródło problemów piosenkarki leży przy rodzinnym stole. Nie jest on miejscem, przy którym cementuje się rodzinne relacje, ale czymś całkowicie odrotnym. Bardziej przypomina arenę do walki gladiatorów – klótnie ojca i matki, w których nastoletnia Amy jest tylko niemym pionkiem, ranią tak mocno, że kładą się cieniem na całe jej przyszłe życie. Nieobecna matka, ożywająca tylko w kontaktach z ojcem, przypomina nakręcaną lalkę ubraną w wielką purpurową suknię z doklejonym, sztucznym uśmiechem. Związek z ojcem jest natomiast dla piosenkarki tym, co pomaga jej unosić się na powierzchni życia, ale jednocześnie nie pozwala bezpiecznie płynąć do przodu. Spektaklowa Amy obwinia ojca o swoją nieuleczalną potrzebę miłości, której zabrakło w dzieciństwie – *Love is a losing game* zaśpiewa, siedząc z nim przy jednym stole. Ostatecznie to córka zabija ojca – swoją śmiercią zadaje mu morderczy cios.

Pierwsza część to też solowy koncert piosenkarki – retrospekcje z życia poprzeplatane zostały utworami z jej płyt. Publiczność usłyszy *Rehab* skierowany do ojca, który leczy swoją córkę z uzależnienia kolejnymi łapówkami, zostawianymi na biurku lekarza kierującego odwykiem Amy. *Back to black i Stronger than me* wybrzmiały tu jako smutne diagnozy potrzeby łaknienia miłości. Winehouse kreowana przez Wiktorię Węgrzyn porusza się równie specyficznie jak ta oryginalna. Aktorka świetnie odgrywa charakterystyczne, pretensjonalne gesty, z którymi kojarzymy Amy. Scenografia pierwszej części ma w sobie coś z klimatu czarnej chaty *Miasteczka Twin Peaks*. Jest duszno i przytłaczająco. Nad sceną zwisają ciężkie, purpurowe kotary, które zostają zerwane przed rozpoczęciem drugiej części, a widzom ukazuje się całkiem inny świat, przypominający gruzowisko, zniszczony, zdeformowany. Na jego straży stoi owca, która pomaga przejść członkom klubu na „drugą” stronę. Gdzie dokładnie jest ta druga strona, niestety nie wiadomo. Akcja dzieje się w czyścicu, przypominającym bardziej squat dla narkomanów i alkoholików niż niebiański prezes. Na Amy czeka tu sam Kurt Cobain (Dominik Rybalek), Jim Morrison (Piotr Piecha), Jimi Hendrix (Ryszard Starosta) i Janis Joplin (Aneta Wirzinkiewicz). Wyznania poszczególnych wokalistów swoją formą przypominają spotkania AA – odróżnia je jedynie to, że nikt z wyznających

nie chce poprawy ani jakiegokolwiek zmiany. Twórcy spektaklu sugerują, że problemy prowadzące do upadku, mają swój początek zazwyczaj już w dzieciństwie. Pokiereszowane dusze artystów, powykrzywiane postrzeganie rzeczywistości, chęć przeżycia czegoś „naprawdę mocno”, potrzeba bezgranicznej wolności, brak akceptacji samego siebie – tak brzmią niektóre z diagnoz członków Klubu 27. Rozkochanie, a jednocześnie nienawiść artystów do samych siebie podsumować można cytatem utworu zespołu Hozier, który również pojawia się w spektaklu – „I was born sick, but I love it”.

Prawdziwe historie momentami wydają się banalne, proste i zupełnie nie pasujące do tych wielkich postaci – legend jeszcze za życia. Cienka granica pomiędzy sceniczną ekspresją a irytującymi środkami aktorskimi czasami niestety przesuwają się w tę drugą stronę i obserwujemy miotającą się po tym śmietniku popkultury Amy, Janis Joplin, która z kolei w niemalże narkotycznej ekstazie biega po widowni czy Jima Morrisona, który tarza się w śmieciach. Finałem spektaklu jest pojawienie się Jezusa, który zamiast nieść dobro i zbawienie przychodzi napić się wina.

Nie tylko o życiu gwiazd jest tutaj mowa. Sieklucki chowa w swoim spektaklu to, co myśli o dzisiejszej Polsce. W trakcie wywiadu Amy z polskim prezenterem telewizyjnym (Jacek Strama), na scenę wjeżdża mała, drewniana stodoła z naklejonym napisem „Tęsknię za Tobą Żydzie”, która w kontekście rozmowy z Amy o jej żydowskich korzeniach jednoznacznie kojarzy się ze stodołą w Jedwabnem. *Amy. Klub 27* opowiada też o Polsce jako wiecznym czyśćcu. To tutaj wywyższa się zmarłych, to martwym stawiamy pomniki.

Widz staje się tutaj podglądaczem, który ogląda bolesne wspomnienia innych. To przewrotne zagranie Siekluckiego, który zaprasza publiczność do intymnego świata znanych nas osób, ale jednocześnie przestrzega, tak jakby mówił „to nie jest wasza historia i nie chcecie, aby wam się to przytrafiło”. Publiczność ogląda bolesne sceny, z których wylaniają się inne niż popkulturowe wizerunki gwiazd. Artyści są słabi, nie potrafią się podnieść, jeśli ciąży na nich zbyt dużo emocji. Zabija ich rzeczywistość, o której marzą małe dziewczynki śpiewające do szczotki do włosów.

Amy, dlaczego chcesz być sławna?

Bo chcę umrzeć, proszę Pani.

Środki psychopasywne

"Amy. Klub 27" Marii Spiss w reż. Piotra Siekluckiego w Teatrze Ludowym w Krakowie.
Pisze Maciej Stroiński na blogu Teatr jest cute.



"Amy" w Ludowym to biedny, bo biedny, ale esej z teologii. Wcale nie z żydowskiej. OK, jest jarmułka, Szabat (z dużej - nazwa święta) i fajcząca się stodoła, ale tym razem nie o tym jest ten daddy complex. Bóstwa szolbizu nie są judeo ani chrześcijańskie choćby dlatego, że jest ich wiele. W tym secie zjawia się święta piątka, High Five: Kurt Cobain, Jimi Hendrix, Janis Joplin, Jim Morrison, Amy Winehouse. Czyli wiadomo, smuteczkowe dzieciństwo, ale młodość wieczna, bo nie miała innego wyjścia, odurzenie, śpiew i show. "Jestem domem pełnym wina" (w sensie: nie miłości) - pada jako pierwsze. Impreza dionizyjska, pogańska, z prawdziwym zgonem. Żadne tam trzydzieści i trzy, tylko jeszcze szybciej. Artyści to lubią: żeby było o nich i dawało rozgrzeszenie. Dzieło o strukturze pornola: szczątkowa fabuła i NUMERY (głos plus akompaniament minus playback, to znaczy na lajfie). Są cytaty filmowe: Mitch Winehouse rozmasowuje kobiecie twarz talerzem jak James Cagney owocem cytrusowym; nocny coming out przez telefon ("Anioły w Ameryce"); pośmiertny wywiad w tv ("Wojna polsko-ruska"). Baza tekstowa to kolekcja psychobanałów. Nie mówię, że nieprawdziwych, ale właśnie banalnych. To jak podać mąkę, wodę, sól zamiast podplomyka - niby kontent jest, ale. Znowu charyzmę się próbuje WYTŁUMACZYĆ, bo wybaczyć jej nie można, że jest prezentem od Boga za nic. Jakie to tłumaczenie jest słabe, niepsychoaktywne! "Byłam głośna, bo w domu trzeba się było drzeć" - to ma wyjaśnić talent Amy Winehouse. Po czym Amy zarabuje tatę dosłownie, czyli oczywiście beczka, ale i tak żal. Przyznam lojalnie, że nie ziewałem. Reflektory dostają korby, jakby reżyser chciał się nacieszyć tym, czego se nie może w pracy. Dwuczęściowy tytuł dlatego, że to składak z dwóch spektakli: "Amy samotrzeć" i "Amy zbiorowo". Łącznie "Amy w domu i w zagrodzie". W części po przerwie wskazówka dla aktorów brzmiała chyba "zagraj się jak szmata" (cyt. za Paweł Demirski, "Bitwa warszawska 1920"). Nie posłuchała Aneta Wirzinkiewicz i bezgroteskowo, ŁADNIE ogarnęła swoją Janis Joplin. Na koniec wchodzi Jezus ex machina.

AMY. KLUB 27, Teatr Ludowy w Nowej Hucie, reżyseria Piotr Sieklucki, tekst Maria Spiss, jak tu wygląda Łukasz Błazejewski, muzyka Paweł Harańczyk, granie Patrycja Durska, Beata Schimscheiner, Iwona Sitkowska, Wiktoria Węgrzyn, Aneta Wirzinkiewicz (<3), Piotr Piecha, Dominik Rybiątek, Tomasz Schimscheiner, Ryszard Starosta, Jacek Strama. Byłem 9 maja 2015.

"Środki psychopasywne"

Maciej Stroiński

www.teatrjestcute.pl

[Link do źródła](#)

11-05-2015

Nie utożsamiam się z Amy

O trudnym starcie absolwentów krakowskiej PWST i swojej nowej roli mówi Wiktoria Węgrzyn, odtwórczyni postaci Amy Winehouse w sztuce Marii Spiss *Amy. Klub 27*, której premiera odbyła się 6 marca br. na scenie Teatru Ludowego.

– Jak trafiłaś do Teatru Ludowego?

– Zostałam zaproszona na rozmowę przez dyrektora Jacka Stramę. Pan dyrektor wcześniej obejrzał pokazy dyplomowe na PWST, w których grałam, jeden i drugi bardzo mu się spodobały. Bardzo miłe i życzliwie porozmawiał ze mną o mojej przyszłości. Po jakimś czasie dostałam telefon od reżysera, że zaprasza mnie do współpracy nad rolą Amy. Próby ruszyły w grudniu. Tak się zaczęła moja przygoda.

– W spektaklu *Amy. Klub 27* grasz rolę wybitnej piosenkarki angielskiej Amy Winehouse, która tragicznie zmarła w wieku 27 lat. Opowiedz o tym przedstawieniu.

– Spektakl *Amy. Klub 27* został wyreżyserowany przez Piotra Siekluckiego, tekst napisała Maria Spiss, a mnie zaproponowano rolę Amy Winehouse. Poza nią pojawiają się także Jimi Hendrix, którego gra Piotr Starosta, Kurt Cobain grany przez mojego kolegę z roku Dominika Rybiałka, Anita Wyżnikiewicz w roli Janis Joplin, Piotr Piecha jako Jim Morrison. Spektakl składa się z dwóch części, które łączy postać Amy. Pierwsza opowiada głównie o życiu Amy, jej dzieciństwie, o jej pragnieniach, relacjach z ojcem, potężnym zagubieniu, poczuciu pustki, stosunku do rodziny, religii i wartości. Amy pochodziła z bardzo konserwatywnej rodziny żydowskiej i próbowała się z tego konserwyzmu wyzwolić. Zresztą wątek rozpadu rodziny łączy wszystkich klubowiczów, podobnie jak tragiczna śmierć w wieku 27 lat. Druga część spektaklu dzieje się już po śmierci Amy. Główna bohaterka trafia do pełnego śmieci Czyścica – jest to świat klubowiczów, sceniczny świat bogów, bowiem każdy z klubowiczów za życia był idolem, miał wielką popularność. Druga część spektaklu to zderzenie klubowiczów, mających się za bogów, z rzeczywistością, w której się znaleźli. Postaci wygłaszają monologi, śpiewają piosenki. Opowiadają o swoim życiu, o rzeczach, które łączą ich z Amy. Ta druga część nie ma fabularnego porządku, jest zakrecona tak jak postaci są zakrecone.

– Czy utożsamiłaś się z Amy? Które elementy jej biografii są ci bliskie?

– Rola Amy była dla mnie pierwszą poważną rolą po PWST. Praca nad jej zewnętrznością to jest teoretycznie mniej ważna rzecz – ale tutaj mamy do czynienia z ikoną, która ma pewne cechy bardzo charakterystyczne. Trzeba poświęcić sporo czasu, żeby znaleźć te zewnętrzne cechy zachowania w jej ciele, ruchach, mimice. Równocześnie trzeba pracować nad wnętrzem, psychiką postaci. Łączenie tego jest najważniejsze. Ja nie utożsamiam się z Amy. W swojej biografii nie mam tak przykrych wątków rodzinnych. To, co nas tak naprawdę łączy, to miłość do sceny – ta dziewczyna naprawdę kochała scenę i tylko tu czuła się wolna.

– To bardzo dużo.

– Tak i o to się zaczęłam. Ale też o to, że ona była rzeczywiście niegrzeczna. Jesteśmy dopiero po kilku spektaklach, robota nad rolą jeszcze nieskończona. Bardzo lubiłam tapirować sobie włosy tak jak ona. Lubię rzeczy, które są nieprzewidywalne, tak jak Amy. Potrafiła się nagle, z niewiadomych przyczyn roześmiać lub rozpłakać. Są to zewnętrzne zachowania, ale wpływające z jej charakteru, ona się po prostu nie mieściła w tej rzeczywistości, naprawdę próbowała ją zmienić, rozerwać od środka.

– A jak wyglądała praca twoich kolegów nad ich rolami?

– Stworzyliśmy bazę biograficzną i dokumentalną postaci, ale nie była ona najważniejsza. Nic nie ma sensu na scenie, jeśli nie zostanie przepuszczone przez aktorów, którzy to wykonują. Każdy się chwycił jakiegoś problemu swojej postaci, problemu zakorzenionego jej w biografii. Potem te problemy uzyskały osobny byt w aktorze. Zewnętrzne podobieństwo do postaci pojawiło się naturalnie. Aktorzy kojarzą z postaciami poprzez specyficzną charyzmę. Janis Joplin jest ekstrawertyczna i lubi wszystko z siebie wyrzucać na zewnątrz, a Kurt Cobain ukrywa w sobie wszystko, nie lubi zdradzać tego, co ma w środku. Poniosły nas te rzeczy. Maria Spiss zawsze podkreśla, że to nie jest tekst dokumentalny, biograficzny, monologi postaci to pretekst do powiedzenia jeszcze czegoś więcej.

– A co to jest to więcej?

– To są te problemy, o których klubowicze sami nigdy nie mówili wprost, ale je wyrażali w swojej muzyce. To jest cały ból ich



świata, wątki, które wynikają z ich biografii, które można wyczytać między wierszami, a z których Marysia stworzyła tekst.

– **Jak przebiegała współpraca z reżyserem?**

– Piotr Sieklucki jest zarówno reżyserem, jak i aktorem. Wie bardzo dobrze, jak aktor pracuje nad rolą, jego uwagi reżyserskie były dla mnie bardzo komunikatywne. Bardzo dużo mogłam się od niego nauczyć, inspirował mnie w pracy nad rolą. Piotr w pewnym momencie zostawia aktora i pozwala, żeby się coś zadziało. To jest bardzo dobra rzecz, dzięki której można się wiele nauczyć.

– **Jakie śpiewasz piosenki?**

– *Back To Black, You Know that I'm No Good, Rehab, Love Is A Losing Game*. Każdy z klubowiczów ma swoje piosenki, pojawiają się największe przeboje Jimiego Hendrixa, Janis Joplin, Kurta Cobaina, na ten spektakl warto przyjść jak na koncert, bo warstwa muzyczna jest świetnie wykonana, wszystko na poziomie piosenkarskim. Jest to dużo plus tego spektaklu.

– **Powiedziałaś, że w spektaklu pojawia się temat trudnych relacji bohaterów sztuki z rodzicami?**

– Tak, ten wątek okazał się kluczowy dla każdej postaci. W relacje z rodzicami wdzierają się potężna nienawiść z różnych powodów. W przypadku Janis Joplin – matka ją wyrzuciła z domu, ponieważ córka była brzydka i niegrzeczna. Te słowa zapadły w pamięć Janis i cały czas do nich wracała.

– **Jak to było w przypadku Amy?**

– Oni wszyscy pochodzili z rozbitych rodzin, wstydzili się za rodziców i za to, że zostali sami. Wstydzili się sami siebie i za swoje środowiska. Ojciec Amy Winehouse traktował ją bardziej jako produkt niż jak własne dziecko – z czego Amy zdawała sobie sprawę. Ojciec cały czas namawiał ją do występów, mimo że wiedział, iż trzeba ją odizolować od środowiska muzyków. Był to człowiek pełen hipokryzji, bardzo cenił sobie tradycje rodzinne, piątkowe obiady u matki. Jednak zostawił rodzinę i odszedł do innej kobiety.

– **Bardzo współczujesz Amy?**

– Tak, widzę, że jej relacja z ojcem była bardzo toksyczna. Jedno bez drugiego nie mogło żyć, ale to były podobne osobowości. Ojciec Amy robi teraz na jej nazwisku wielką karierę.

– **Co czujesz, gdy widzisz się w lustrze jako Amy?**

– Charakteryzacja jest bardzo silna, ale myślę głównie o zadaniu, jakie mam wykonać. Emocje chowam w sobie, żeby zadziały dopiero na scenie.

– **Jesteś młodą aktorką, rok po PWST, skoczyłaś specjalizację wokalną. Na czym ona polega?**

– Specjalizacja wokalna powstała na wydziale aktorstwa dramatycznego. Po tej specjalizacji wychodzą aktorzy dodatkowo wyposażeni w umiejętności wokalne. Jestem bardzo szczęśliwa, że tam trafiłam, dużo mówi się tam o otwarciu na wszelkie formy. Umiejętności aktorskie są te same, ale mamy więcej godzin z impo-

– **Jak wyglądała twoja praca nad dyplomem aktorki?**

– Na czwartym roku cała grupa wokalna wystawia dwa pokazy – jeden dramatyczny i jeden muzyczny. W dyplomie dramatycznym najważniejszy jest tekst. Zagraliśmy spektakl *Miłość i pieniądze* w reżyserii Iwony Kempy. W dyplomie muzycznym najważniejszy jest śpiew. Pracowaliśmy z Ewą Kaim nad *Dyplomem z Kosmosu*, który okazał się dużym osiągnięciem. Na festiwalu w Łodzi dostaliśmy trzy nagrody, spektakl był zapraszany na występy gościnne do wielu teatrów. Kiedyś na festiwal do Łodzi zjeżdżali się wszyscy dyrektorzy teatrów, teraz frekwencja jest mniejsza.

– **Jak wygląda sytuacja zawodowa twoja i twoich kolegów na rynku pracy po ukończeniu studiów?**

– Większości moich kolegów udało się gdzieś zaczepić. Nie jest źle, dla nas najważniejsza jest praktyka. Ważne jest, żeby po szkole utrzymać kontakt z sceną. Przykre w naszym krakowskim środowisku jest to, że absolwentom bardzo trudno się dostać do dyrektorów teatrów. Nie mają czasu wysłuchać tego, co mamy do zaproponowania. Zastanawiam się, czemu tak jest.

– **Jakie są twoje plany artystyczne na najbliższy czas?**

– Mam nadzieję na kontakt ze sceną, jest on dla mnie najważniejszy.

– **Dziękuję za rozmowę.**

Elżbieta Depta
Zdjęcia: Sebastian Strana

→ PIĄTEK I SOBOTA

27 LAT (Z) ŻYCIA

MARTA GRUSZECKA

Każdy z nich miał wszystko, co ważne dla artysty. Sławę, pieniądze i miliony fanów. Byli idolami dla swojego pokolenia, wzorami stylu, autorytetami w dziedzinie muzyki. Ale prawdziwego szczęścia szukali w narkotykach, alkoholu i skandalach. To ich zabiło. Historią muzyków, którzy odeszli w wieku 27 lat, inspirowany jest spektakl „Amy. Klub 27” Piotra Siekluckiego, który w piątek i sobotę możemy obejrzeć w Teatrze Ludowym.



Jim Hendrix (właściwie James Marshall Hendrix) był synem sześciopalcza-stego żołnierza. Choć po ojcu przyszedł muzyk liczący palców nie odziedziczył, były one bardzo długie i zwinne.

JIMI

Przygodę z muzyką Hendrix zaczął od harmonijki ustnej. Potem próbował połączyć ją z ukulele, kijem od szczotki, która miała udawać gitarę. Prawdziwy instrument trafił w ręce 15-letniego Hendrixa. Z gitarą Jimi już nigdy się nie rozstał. Choć w jego barwnym życiu jest zamilowanie do malarstwa, służba wojskowa (za kradzież samochodu Hendrix miał do wyboru więzienie lub wojsko), a nawet skoki na spadochronie, muzyka pozostała jego największą pasją. Został wirtuozem gitary elektrycznej i zrewolucjonizował grę na tym instrumencie, tworząc własny styl. 27 listopada 1969 r. Jimi Hendrix skończył 27 lat. Kolejnych urodzin już nie doczekał. 18 września 1970 r. przedawkował leki nasenne i popił je alkoholem.

HIPPISKA O SOULOWYM GŁOSIE

Janis Joplin, autorka nieśmiertelnych utworów, tj. „Piece of my heart”, „Mercedes Benz” czy „Try (just a little bit harder)”, miała być... malarką. Malowanie pozwalało jej na ucieczkę od ludzi. A młoda Jo-

plin stroniła od towarzystwa szkolnych kolegów i koleżanek. Nie dlatego, że chodziła z zadartym nosem, przeciwnie. Kpiono z jej otyłości. Śpiewać zaczęła dopiero dzięki szkolnym hippisom, którzy zapoznali ją z soul i bluesem. Najpierw śpiewała w zespole bluesowym Big Brother & The Holding Company, po dwóch latach solo.

Janis na pierwszym miejscu stawiała kompilacje psychodelicznego rocka z soul i bluesem. Na drugim, niestety, używki. Nie podobała sławie - nie doczekała nawet wydania swojego drugiego albumu. 4 października 1970 r. w Los Angeles 27-letnią Janis Joplin zabiły depresja, alkohol i narkotyki.

DUSZA DZIELONA Z INDIANINEM

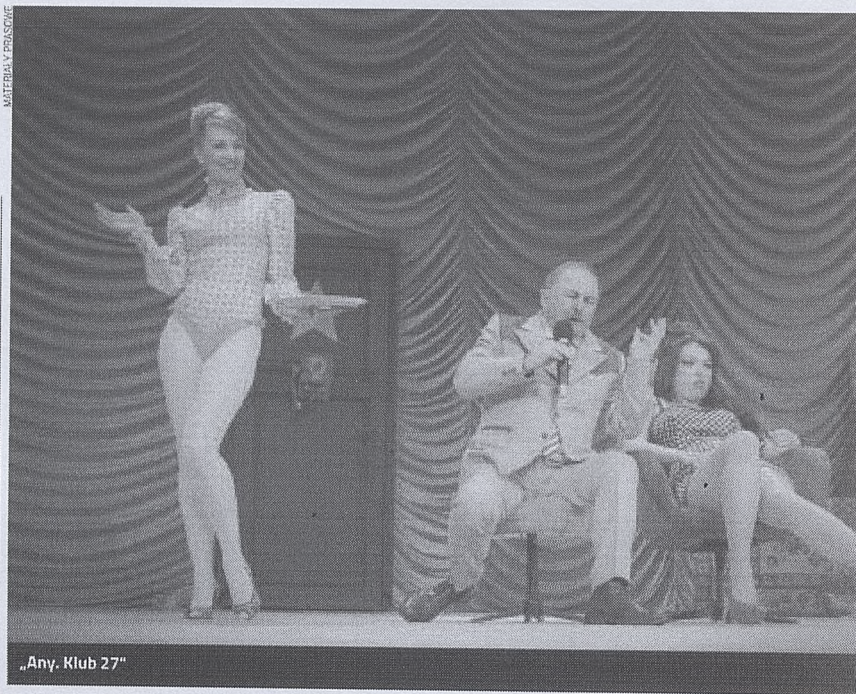
Jim Morrison, wokalista zespołu The Doors, życiorysem pełnym skandali zasłynął na miano muzycznego poety wykletego. Tak, to nie muzykiem, a poetą on sam chciał siebie nazywać. Pisał wiersze, zaczytywał się we Fryderyku Nietzsche i Arthurze Rimbaud, próbował swoich sił w reżyserii, ale ostatecznie duszę oddał muzyce rockowej. Duszę, jak twierdził, dzielił ze starym Indianinem.

Poza muzyką fascynowały go gady, a zwłaszcza jaszczurki, dlatego przypisał sobie tytuł „Króla Jaszczura”. W 1965 r. razem z kolegą ze studiów Rayem Manzankiem założył zespół The Doors. Utwory „The end”, „Riders on the storm” czy „Break on through” stały się przebojami wszech czasów i mimo nieobecności muzyków od 44 lat nadal żyją w głowach fanów rocka. Morrison nie dbał o maniery, grał, śpiewał, pił i epał. Tragizm i szybko zakończyło się jego życie, będące pasmem muzycznych sukcesów i życiowych porażek - 27-letniego martwego wokalistę po przedawkowaniu heroiny znaleziono 3 lipca 1971 r. w jego paryskim mieszkaniu. Leżał w wannie pełnej własnej krwi.

POTARGANY GRUNGE

Kiedy w połowie lat 80. Kurt Cobain zaczął swoją przygodę z mu-

MATERIAŁY PRASOWE



Hendrix, Joplin, Morrison, Cobain, Winehouse. Byli idolami dla swojego pokolenia, wzorami stylu, autorytetami w dziedzinie muzyki. Ale prawdziwego szczęścia szukali w narkotykach, alkoholu i skandalach

zyką, w Stanach Zjednoczonych królowały popowe kawalki Madonny, do których bawilo się pokolenie yuppies - młodych, ambitnych, zawodowo wolnych strzelców, dbających wyłącznie o karierę i związane z nią luksusy. Młodzież, która nie miała szans na dołączenie do grona „wymuskanych” freelancerów albo wyznawala inną niż yuppies piramidę wartości, potrzebowała kogoś, kto wskaże jej drogę i razem z nią zaprotestuje przeciwko konsumpcjonizmowi i podawanym na tacy ideatom. Tak w gusta młodych trafiła Nirvana - młody zespół z Seattle, który za nie miał obowiązujące kon-

wenanse, czyste ciuszki i wygodny styl życia. Modną elektronikę porzucił na rzecz ciężkich gitar, ustawiane wywiady i promocję w mediach zastąpił emocjonalnymi tekstami piosenek i porywającymi koncertami, a wizerunek ulizanych panów pod krawatem - potarganym stylem grunge.

Nirvana na czele z Kurtem Cobainem błyskawicznie zdobyła serca Amerykanów, a potem buntowników z Europy. Kraciaste koszule, dziurawe jeansy, wytarte kurtki i glany nosili wszyscy kontestujący rzeczywistość. Co więcej, ku złości muzyków i fanów styl grunge stał się „produktem rynku” - odzież stylizowaną na Nirvanę zaczęła promować m.in. marka Dolce & Gabbana.

Cobain nie wytrzymał presji „boga młodych ludzi”. Nie pomogły mu w tym też narkotyki, alkohol i problemy rodzinne. 5 kwietnia 1994 r. jego ciało znalazł w garażu elektryk. Legendę Cobaina młodzi wynieśli na piedestał, przekonując, że za swoją wyjątkowość artysta zapłacił 27-letnim życiem.

CHRYPKA NASZYCH CZASÓW

Amy Winehouse od pierwszego singla zapowiadała się na głos wszech czasów. Wychowanie w rodzinie o muzycznych tradycjach, charak-

terystyczna chrypka, kompozycje na miarę Niny Simone, oryginalny wizerunek w sam raz do zaprezentowania na scenie. Na punkcie „Rehab” oszaleli Brytyjczycy, a wkrótce potem cała Europa i Amerykanie. Rozgłos i uznanie krytyków, jakimi cieszyła się druga płyta Amy Winehouse, zrekomensowały wokalistce to, że debiut płytowy przeszedł bez echa.

Soul, jazz i r&b - w połączeniu tych nurtów Amy była fenomenalna. Gorzej szło jej z łączeniem używek - horrendalne ilości narkotyków popijanych alkoholem w zestawie z depresją i problemami rodzinnymi musiały doprowadzić do tragicznego końca. Amy Winehouse znaleziono martwą 23 lipca 2011 r. w jej mieszkaniu w londyńskiej dzielnicy Camden. Miała 27 lat.

Jimi Hendrix, Janis Joplin, Jim Morrison, Kurt Cobain, Amy Winehouse - to oni byli inspiracją Piotra Siekluckiego, który wykorzystał do przygotowania rockandrollowego show „Amy. Klub 27”. Po prawie dwóch latach od premiery (6 marca 2015 r.) sztuka wraca na scenę Teatru Ludowego. ☺

→ Spektakle w piątek i sobotę o godz. 19 na Dużej Scenie (os. Kolorowe 34). Bilety od 35 (ulgowy) do 45 zł (normalny) na stronie bilety.ludowy.pl.